



Józef Walaszczyk

część I z II

Sygnatura notacji: **N1246**
Data urodzenia: **13.11.1919 r.**
Data nagrania: **12.04.2018 r.**
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 52 min, część II: 34 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Józef Walaszczyk: Nazywam się Józef Walaszczyk, urodziłem się 13 listopada 1919 roku. Matka Helena, ojciec Adam. Matka miała średnie wykształcenie medyczne, ojciec był dziennikarzem. Ojciec żył krótko, bo umarł w 1927 roku i mama poszła do pracy, do kliniki na Emilii Plater, św. Zofii. Mnie oddała do bursy ze szkołą na Wileńskiej 2, w której byłem jeden rok i bardzo się tam źle czułem, bo był bardzo duży rygor, a ja byłem wychowywany w sposób taki bardziej delikatny, matczyny. Postanowiłem uciec. I ponieważ parter był, miał kraty i portier pilnował wyjścia, więc postanowiłem zrobić to z pierwszego piętra, ale to trzeba było przejść po parapecie do rynny. Namówiłem jeszcze takiego kolegę, który też się bardzo źle czuł. Powiedziałem: „Mama cię też przyjmie, moja jest bardzo dobra”. No i po śniadaniu, o dziewiątej rano, przeszliśmy po tym zewnętrznym oknie do rynny. Ja zjechałem dobrze, Królikowski odpał, złapałem go, żeby się nie rozbił na trotuarze i cały dzień szliśmy do mamy na Emilię Plater, poszukiwani przez policję. Policja nas nie znalazła, a myśmy jakoś trafili. Na Emilii Plater trzeba było z Pragi przejść mostem, mostami i całe miasto trzeba było przejść. Moja mama tam pielęgnowała i leczyła pana Ludwika Okęckiego, właściciela majątków Ryłsk, Wielki Kaleń i fabryki. I jak on nas zobaczył i usłyszał tę historię z naszej ucieczki, zaproponował mamie, że jak wyzdrowieje, żeby przyjęła pracę w jego majątku, w jego przedsiębiorstwie, żeby zaopiekowała się, bo on będzie potrzebował opieki i jego żona Michalina, jak również praca nad zdrowiem pracowników. No i w ten sposób znalazłem się, i mama, znaleźliśmy się w Rylsku Wielkim. Mną się zainteresował ten pan, syn, Stanisław Okęcki i towarzyszyłem mu we wszystkich, w ramach wakacji i świąt, w ramach prac w fabryce, w majątku, w leczeniu zwierząt. Byłem prawą ręką. Teraz przejdziemy, proszę państwa, do dalszego... Spraw związanych z młodością. Mój kontakt z Żydami zaczął się bardzo wcześniej, bo już w gimnazjum w Łowiczu. Pani profesor przyprowadziła chłopca na początku roku i powiedziała: „Nie będę go sadzać sama, zdecydujcie wy, z kim ma siedzieć”. Ja siedziałem w ostatniej ławce, spojrzałem na tego chłop-

ca i patrzę, to jest Żyd. Cisza się zrobiła straszna, nie było żadnego odzewu. Patrzę na niego, łzy mu lecą. Zrobiło mi się go żal, wstałem i powiedziałem, że ja będę z nim siedział, ale w pierwszej ławce, żeby mi tam z tyłu nie robili psikusów. Ponieważ od młodych lat umiałem znaleźć sobie poklask, tak że ten kolega się z nami, żydowski, zaprzyjaźnił i było, potem było już, wszystko było w porządku. Zostałem przeniesiony do gimnazjum, do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie zdałem maturę. Stamtąd do Warszawy, do liceum Komisji Edukacji Narodowej. Skończyłem, byłem na praktyce w Ministerstwie Skarbu. I tak już bardzo się zajmowałem sprawami majątku i fabryki, bo już byłem, miałem już, podstawowe już wykształcenie i praktykę. Robiłem zakupy dla fabryki i załatwiałem sprawy telefonicznie, że właściciel nie musiał przyjechać, tylko mnie zlecał przez telefon załatwianie spraw w Warszawie i załatwiałem. Tak że byłem już w dużej mierze samodzielny. I tak przyszedł trzydziesty dziewiąty rok. Byłem na ćwiczeniach wojskowych w Lidzbarku, nad Jeziorem Lidzbarskim. Byłem w 2 kompanii, w której pierwszy pluton był aryjski, a drugi był żydowski, ze szkoły żydowskiej. I ci koledzy żydowscy zwrócili się do nas, żebyśmy się nimi opiekowali, a oni za nas będą robić rozmaite prace, będą nas wyręczać. I jednego razu nasz pluton aryjski był na strzelnicy, natomiast oni mieli prace domowe. Wróciliśmy i koledzy się poskarżyli, że orkiestra, która była orkiestrą państwową, orkiestrą wojskową, przyszła i pobiła tych Żydów. No więc nie było innego wyjścia, więc zarządziłem, żebyśmy wzięli tak zwane saperki. To były takie szpadelki obleczone w skórę, żeby nie było za dużych śladów i poszliśmy do orkiestry i żeśmy im dali manto. Tylko że oni akurat ćwiczyli, grali i się zaścianiali trąbami, i żeśmy pogięli te trąby. Wieczorem pułkownik Piwnicki grzmiał strasznie, że to jest banda, że napad, że następnego dnia on się zastanowi i wyda decyzję, co z nami zrobić. Więc zwróciliśmy się do naszego szefa kompanii, który był bardzo miły, porządny człowiek. Żeśmy mu powiedzieli całą historię, dlaczego to się stało i dlaczego tam poszliśmy, i żeby poprosił pułkownika, żeby nas tak bardzo ostro nie karał. No i udało się, przekonał pułkownika. Więc następnego dnia na apelu pułkownik powiedział, że zapoznał się dokładnie ze sprawą, że nie popiera jej, ale rozumie i wobec tego kara to będzie taka, że musimy zapłacić za renowację trąb, co będzie kosztowało tysiąc złotych. No tutaj koledzy żydowscy powiedzieli, żebyśmy się nie martwili, przyjechali rodzice i załatwili sprawę. Nie byliśmy pełnych trzech miesięcy, bo już nas w lipcu rozwiązali, bo nasze miejsce zajęły wojska, bo byliśmy na samej granicy z Prusami Wschodnimi. Więc ja wróciłem do Ryłska, do pracy, zajęłem się tam pracą. I tak zaczęła się wojna. Jak zaczęła się wojna, pułkownik Umiaszowski zarządził mobilizację i nam wyznaczali do Brześcia Litewskiego. Więc 6 września wzięliśmy parę koni, bryczkę i sześć koni osobno, dla wojska, bo wojsko wtedy używało do transportu koni też. I pojechaliśmy do Brześcia. Było bardzo ciężko, bo bez przerwy były szosy zatłoczone, bombardowania bez przerwy i samoloty niemieckie z karabinów maszynowych sieły po szosach okropnie, więc jechało się nocami i zjechało się w boczne drogi. I gdzieś pod Hrubieszowem, jechaliśmy taką boczną drogą i zaatakowały tę drogę dwa samoloty niemieckie, sztukasy. Pan Okęcki uciekł do domu, który tam był za szosą, a ja zostałem z końmi, żeby je przywiązać, bo ludzie, którzy zostawiali konie, nie przywiązane do drzewa, to te konie się strasznie bały i uciekały, i w ogóle było okropne zamieszanie. Jak przywiązałem te konie i chciałem do tego domu wejść, w którym był pan Okęcki... Natomiast gospodarz zamknął drzwi na klucz i ja zostałem na gołym placu, gdzie oprócz tego nie było żadnego innego budynku i dwa samoloty mnie atakowały z góry. Myślałem, że to będzie koniec. Nie mając się gdzie schować, wzięłem się, położyłem wzdłuż domu, przy ziemi i tak przylepiłem się do fundamentów, no i jakoś żadna kula mnie nie trafiła. Oni, jak im znikłem z tego gołego placu, to widocznie tam już mnie nie dojrzeli i odlecieli. To był pierwszy moment, gdzie byłem oko w oko ze śmiercią. I dojechaliśmy do Brześcia. W Brześciu dowiedzieliśmy się, że mobilizacji nie ma, że Niemcy doszli już do Wisły, więc postanowiliśmy jechać do Rumunii, bo szef miał tam, w Rumunii znajomych, tam mieli majątki i dlatego chcieliśmy tam jechać. Przez Polesie, Wołyń, dojechaliśmy pod Równę, do majątku hrabiego Jezierskiego.

Przyjechaliśmy tam gdzieś o godzinie piątej, a o godzinie dziewiątej radio ogłosiło, że: „Nasi wajska zajęli Równo”. Zaczęła się inwazja rosyjska. Okazało się, że Niemcy przecięli drogę do Lwowa i nie było już mowy o jeździe do Rumunii. Więc szef, który znał bolszewików i bał się ich strasznie, bo był w obronie Warszawy i stykał się z nimi, więc powiedział, że natychmiast wracamy do domu, najkrótszą drogą. Więc doczekaliśmy świtu i o świcie pojechaliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego. Po drodze już banda ukraińska nas obrabowała, a we Włodzimierzu Wołyńskim Ukraińcy rozbroili jakąś jednostkę polską. Szosę zablokowali, ustawili armatę i karabiny, żeby zatrzymać, żeby nie puścić nikogo na stronę niemiecką, tylko żeby tutaj zostali pod rosyjską... Pomógł nam oddział młodzieży. Podchorążówka, która też się tam zjawiała. Dali ultimatum tym Ukraińcom, że jeżeli armaty nie ściagną i nie otworzą drogi, to wezmą bagnety na broń i pójdą, i ich załatwią. No i jednak się zlekli, wzięli armatę, ściagnęli, sami zeszli i my pod opieką tej podchorążówki żeśmy przeszli przez Włodzimierz Wołyński, który był już cały czerwony. Flagi już wisiały czerwone i wszyscy mieli kokardy czerwone. Pojechaliśmy do Uściługa, bo most był zerwany, już nie było mostu, nie było połączenia. Udało nam się przekupić Ukraińca, który – rybaka – który powiedział, że wie, gdzie jest bród, i że tym brodem będzie można przejechać na stronę niemiecką. Ale druga strona została zaminowana przez Polaków. Ale on obserwował to zaminowanie, którędy oni się wycofywali i za odpowiednią kwotę może nas przeprowadzić. Więc w nocy przejeżdżałem Bug końmi. Konie mi się topiły, zalało nas całkowicie. Musiałem odciąć konie od dyszla, żeby mogły wstać, bo było tyle kamieni, że się przewracały. Ale Okęcki przejechał łódką. No, ale udało mi się te konie przeprowadzić na drugą stronę i przez te pole minowe prowadził nas ten Ukrainiec, z latarką, świecąc, gdzie są ślady opon, którymi się wycofywali Polacy, którzy minowali. I tak żeśmy przejechali przez pole minowe. Na drugi dzień staraliśmy się jechać bocznymi drogami, ale trzeba było w pewnym miejscu przejechać szosę i tam trafiliśmy na Niemców. Nas wylegitymowali, szefa puścili, mnie aresztowali i wzięli do obozu. Było nas w tym obozie z półtora tysiąca, bo wszystkich, którzy przeszli ze strony... Uciekali przed bolszewikami, to oni wszystkich wyłapali i... Byliśmy na gołym polu, otoczeni światłami samochodów i motocykli, i karabinami maszynowymi. Siedziałem tam trzy dni, próbowałem uciec w rozmaity sposób, legalny i nielegalny, wykorzystując swoją wiedzę niemiecką, ale nie udało się. W końcu nazwali mnie, że to jest ten, któremu jest wszystko, bo byłem i chory, i zarażony, i wszystko, żeby tylko... A z Okęckim się umówiłem, żeby na mnie czekał, że ja ucieknę i przyjdę. Więc umówiliśmy się w Wierzchowiskach pod Lublinem, tam był majątek znajomego i tam miał na mnie Okęcki czekać. Po trzech dniach bez jedzenia i bez wody, przywieźli bańki takie, z wodą, dali nam wody, ustawili nas czwórkami i do Lublina mieliśmy iść, do pociągu i stamtąd mieliśmy jechać, do Prus Wschodnich nas mieli zawieźć. No ja tam poznałem takiego inżyniera Kozłowskiego, bo trzeba było z kimś pogadać. I mówię, że ja muszę uciec, nie mam wyjścia, muszę uciec. On mówi, że: „Słuchaj, ja jestem tchórz i będę robił to, co ty karzesz, jeżeli masz sposób”. Ja mówię: „Sposób to się znajdzie po drodze”. Szedł koło mnie żandarm z karabinem, no ale po jakichś trzech godzinach ręce mu zdrętwiały i karabin powiesił na plecach. No, a teraz szukałem możliwości ucieczki i postanowiłem, że ponieważ przy drodze były sklepy i przed sklepami stali ludzie, a za budynkami były ogrody i ogródki, więc czekałem, żeby w jakiejś miejscowości było tak, żeby były duże ogrody za zabudowaniami. I tak było w Piaskach Lubelskich. Zobaczyłem sklep, na którym było wymalowane rogalce i chleb, i przed nim stali ludzie. I powiedziałem do Kozłowskiego: „Słuchaj, jak dojdziemy do tego, to biegiem uciekamy. Ja krzyknę”. I krzyknąłem: „Koledzy, tu jest chleb!” i biegiem, Kozłowski za mną, do sklepu, przez ladę, przez mieszkanie, przez okno, ogród i do przodu w pola. Tam się zrobił bałagan, ale nie było komu nas gonić, bo tam się zrobił szum. No i polami uciekliśmy, ale była po drodze rzeka i był most, ale na moście stali żandarmi. Więc ja mówię: „Słuchaj, robieramy się, na głowę rzeczy i przez tę rzekę spróbujemy przejść”, bo tam tak kijem patrzyłem, że tam jest z półtora metra głębokości. Ale jak doszliśmy do środka tej rzeki, to nam się do uszów już

nalewało, więc wróciliśmy, ubraliśmy się z powrotem i powiedziałem: „Trudno, idziemy na most”. I wymyśliłem, że powinniśmy tym żandarmom, że kazali nam iść, że ja pracuję na kolei, on pracuje w elektrowni, że wszyscy, którzy pracują w takich instytucjach, muszą wracać i brać się do roboty, bo jest potrzebny prąd i kolej musi ruszyć. Ponieważ władałem biegle niemieckim, więc po, co prawda, dłuższej dyskusji jakoś ich przekonałem i puścili nas. Okęcki czekał w Wierchowiskach, pojechaliśmy do domu, do Rylska. Tak się skończył... Okęcki po powrocie do Rylska powiedział: „Słuchaj, ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego, ja będę sobie tu gospodarował, a ty prowadź fabrykę, prowadź wszystkie ekonomiczne sprawy, które są, ja nie chcę z Niemcami mieć nic wspólnego”. Bo jak tylko przyjechaliśmy, to u nas w Rylsku stała radiostacja i od razu mnie zaangażowali, żebym ja im pomógł szukać, kto się skrada do stacji. Więc ja wiedziałem, kto się skrada do stacji, ale namówiłem tych skradających się, żeby nie robili tutaj tego, bo tutaj za dużo uciekinierów, za dużo ludzi, mogą być jakieś represje, więc niech tutaj nie robią. Początkowo, po upadku Warszawy, jeździliśmy z panem Okęckim, z chlebem, kiełbasą i innymi rzeczami, żeśmy zaopatrywali, bo w Warszawie po upadku był głód okropny. No, ale potem zaczęła się normalna gospodarka. Ja wystarałem się o zezwolenie na uruchomienie fabryki. Ponieważ nie wolno było mieć samochodów, więc zakontraktowałem samochód u takiego folksdojca na cały rok i miałem kierowcę, miałem samochód i już miałem kontakt z Warszawą. Początkowo, w pierwszych miesiącach, życie normalne zaczęło wracać do normy. Ja w Warszawie miałem biuro i tam miałem agentów takich, do sprzedaży. I z taką agentką jedną szedłem do... Żeby zawrzeć transakcję. I wjechał Niemiec na motocyklu z batem i zaczął krzyżeć, że wszyscy Żydzi z trotuaru na jezdnię i zaczął ich bić batami. Ta moja agentka zaczęła się rwać. Ja mówię: „Co?”. Krzyknęła: „Ja jestem Żydówka, ja nie mogę pana narażać”. Ja mówię: „Bierz mnie pod pachę i idź ze mną, ja cię przeprowadzę”, ale wyrwała mi się, uciekła, więcej jej na oczy nie zobaczyłem. I tak się zaczęły represje. Byłem na przyjęciu w takim domu, bardzo renomowanym, państwa Marconich, na obiedzie, tam mnie zaprosili, bo tam też im pomagałem. I tam poznałem bardzo ładną kobietę, dziewczynę, strasznie mi się podobała. No to wziąłem jakoś tak, zawarłem z nią bliską znajomość. Ponieważ nie było restauracji, nie było kawiarni, więc spotykałem się z nią w pensjonacie na Żurawiej 15 i tam można było zjeść kolację, można było porozmawiać, można było się kawy napić, no i przenocować. I w trakcie takiego jednego pobytu, w nocy chargot niemiecki, walenie. Kontrola Gestapo, kto nocuje, kto przyjechał, kto jest. No i ona mnie oświadcza, że ona jest Żydówka – a nie była podobna – i nie ma żadnych dokumentów. A rodzice? Rodzice są w Indiach, matka jest śpiewaczką, a ojciec miał restaurację „Krzywa Latarnia” na Starym Mieście. I byli w Indiach, ona była sama. No więc nie miałem innego wyjścia, tylko się rozejrzałem po pokoju, zobaczyłem, że szafa tak kryje róg pokoju, tak zakrywa. Odsunąłem tę szafę, wcisnąłem ją tam. Wziąłem dokumenty do ręki, wyszedłem, zamknąłem pokój na klucz. Doszedłem do tego dowodzącego, skrzywiony, jęczący, że mnie strasznie boli żołądek, że muszę natychmiast iść do toalety. On przeczytał dokumenty. A dokumenty sobie starałem zrobić, że jestem kierownikiem fabryki, że jestem upoważniony do jazdy, do transportu, do innych rzeczy. No odczytał, odczytał, puścił mnie. Ja tam pojeżdżałem w tej toalecie i jak przyszedłem do pokoju, to woła tą panią, dlaczego ten pokój jest zamknięty. Ona mówi: „To jest tego pana, którego pan puścił do toalety, który jest chory”. Więc jeszcze raz dokumenty wyciągnąłem, dokładnie je przejrząłem, no widocznie nic tam nie znalazł takiego kiepskiego, oddał dokumenty, poszedł i całą tę ferajnę wyprowadził. Nikogo nie aresztowali tam. Więc rano zabrałem Irenę, przyprowadziłem ją na Kruczą 34/19, tam miałem kawalerkę i tam przykazałem dozorczy, który też u mnie pracował, żeby ją pilnował, żeby jej robił zakupy, dostarczał, co potrzebuje, jak mnie nie ma, a sam pojechałem do gminy Regnów i żeby jej zrobić jakieś możliwe, prawdziwe dokumenty. Nie kryłem im, powiedziałem wszystko dokładnie. Ona się nazywała Irena Front. Oni, ci panowie, powiedzieli, że muszą się zastanowić ze dwadzieścia dni, jakie są możliwości do zrobienia. Po trzech dniach zgłosiłem się, powiedzieli, że wszystko jest na dobrej drodze,

że dokumenty będą stuprocentowe, będą nawet do trzech pokoleń wstecz, bo rodzina, która wyjechała za granicę, to podepną pod to także, że nie tylko ojca i babkę będzie miała i dalej. Ale jest jeden warunek. Ja mówię: „Przecież ja się nie targuję, ile powiecie, tyle zapłacę”. A oni: „Nie, nie, nie. Oprócz pieniędzy to jeszcze jest inny warunek. Bezpieczeństwa. Że ona musi się nazywać Walaszczyk i być pana żoną, bo pan będzie jej pilnował i my będziemy bezpieczni. I jeżeli pan się zgodzi – załatwimy, nie zgodzi się pan – nie załatwimy”. Więc nie miałem innego wyjścia, zgodziłem się. W domu się wszyscy złapali za głowę, no ale ponieważ mama i pan Okęcki moje decyzje akceptował, więc i tę decyzję też. Powiedziałem, że jej do Rylska nie przywiozę, że ona zostanie w Warszawie, że będzie w Warszawie i że nie będą mieli z nią tutaj kontaktu. Więc Irena, jak już poczuła się, że ma dobre, że ma dobre dokumenty, to zgłosiło się tam i kontakt był... Co przyszedłem, to tam było jakaś, całe towarzystwo żydowskie tam przychodziło. Byli tacy, trzech, którzy mieli paszporty wileńskie, radzili się, czy wyjechać. Ja mówię: „To jest wasza decyzja, ja nie wiem, jak jest na Litwie i co będzie z Litwą”. Był taki jeden, który miał dokumenty bardzo dobre, władał chyba dwoma językami, był studentem piątego roku uniwersytetu, i że chce iść do pracy. Ja mówię: „Przy twojej aparycji tylko znajdź sobie pracę bezpieczną”. On taką pracę bezpieczną sobie znalazł taką, że znalazł sobie pracę u Treuhändera niemieckiego. Temu Treuhänderowi niemieckiemu się jego wykształcenie i język bardzo podobał, i wziął, mu dał dosyć wysokie stanowisko nawet i wszystkie przepustki, mógł chodzić w nocy i do niemieckich restauracji, i wszędzie. Ja mówię mu: „Ty uważaj, bo jest za dobrze. Za dobrze jest i to się może źle skończyć”. No i skończyło się źle, bo się wdał w romans z jego sekretarką i jak przeszli przez łóżko, to na drugi dzień go rozstrzelali. I jak już skończyły się te wizyty, bo powiedziałem, że się na to nie zgadzam, nie zgadzam się, to był jakiś czas spokój, aż – to już było na jesieni – na jesieni dostałem telefon od mojego przyjaciela, który tam miał mieszkanie obok, że: „Twoja Irena siedzi w Gestapo na Szucha”. Pojechałem końmi do Żyrardowa, w Żyrardowie w pierwszy pociąg i byłem o piątej już, szóstej rano byłem w Warszawie. Zacząłem szukać możliwości, czy jest jakaś jeszcze szansa, żeby jej pomóc. Byłem u jednego kolegi, którego ojciec był komisarzem policji przed wojną. Powiedział, że on z policją nie chce mieć nic wspólnego. Poszedłem do drugiego kolegi, którego ojciec był też komisarzem policji, ale żona była Niemka, córka pastora kościoła ewangelickiego w Warszawie i kolega mnie zaprowadził, gdzie trzeba i dostałem adres ojca, który został skierowany jako wtyczka do Gestapo warszawskiego. Zgodzili się, żebym nawiązał kontakt. Dostałem telefon, zadzwoniłem, kazał mnie do siebie przyjść. Przyszedłem. To też była ciężka sprawa w tym Gestapo, no ale jakoś tam przebrnąłem wszystkie rewizje i inne kraty, bo trzeba było przejść przez dwie-trzy kraty, żeby w ogóle wejść do budynku. Poza tym powiedział mi, żebym przyszedł do pokoju 300, a żaden pokój nie miał oznaczenia, a bałem się wejść gdziekolwiek, żebym nie trafił źle. Czekałem, aż wyjdzie jakaś kobieta, bo bałem się jakiegoś gestapowca, którzy się kręcili w tę i z powrotem, żeby nawiązać z nimi kontakt. Udałem, że ciągle, że gdzieś idę. W końcu wyszła jakaś babka, do niej podszedłem, poprosiłem i ona mi wskazała ten pokój 300. Wszedłem, ten siedział z drugim gestapowcem takim, odwróconym. Zobaczył mnie, coś mu powiedział, zabrał mnie do drugiego pokoju, no i jemu powiedziałem całą prawdę. A on powiedział: „W takim razie tutaj siedź, a ja pójde i zbadam, jak sprawa wygląda”. Poszedł. Po godzinie wrócił i mówi: „Słuchaj, sprawa jest mocno skomplikowana, bo ona jest aresztowana z dwudziestu młodymi ludźmi, bo zrobili sobie jakiś kongres, zrobili sobie spotkanie, a byli obserwowani i wzięli, wszystkich zgarnęli i ona siedzi w podziemiach Gestapo”. Mówi: „Rozmawiałem z tą ekipą, która wykonała to aresztowanie, więc powiedzieli, że mogliby zmienić kwalifikację, powiedzmy, na nierząd i puścić ich, ale to kosztuje kilogram złota w wyrobach jubilerskich i do piątej godziny musi być załatwione, bo o piątej oni muszą sprawę przekazać na górę do wydziału. Dasz radę?”. No zatkało mnie, ale, no, ale tyle ludzi śmierć, mówię: „Dam radę, spróbuję, dam radę, muszę dać”. Wyszedłem na miasto i szukałem pieniędzy, szukałem złota i do piątej godziny zgromadziłem ten kilogram

złota. Czekałem przed bramą, Krucza 34, przyjechała więźniarka, zapytali się: „Gold jest?” „Jest gold”. Otworzyli drzwi, tych dwudziestu Żydów się wysypało w ciemność, bo już była piąta, to była jesień, więc zginęli w ciemnościach, a ja z Ireną i z tym złotem... Przekazałem im tam w kawalerce. Oni powiedzieli, że: „Jesteście bezpieczni, możecie robić, co chcecie, możecie mieszkać, nic wam tutaj nie grozi”. Ja mówię: „Naturalnie, bardzo dziękuję, będziemy mieszkać”. Jak tylko wyjechali, to żeśmy się spakowali, do dozorczy. Dozorcy powiedziałem: „Mieszkanie sprzedać, wyjechali w niewiadomym kierunku. Nie powiedzieli gdzie”. I zabrałem Irenę do znajomych, a miałem takie mieszkanie, róg Poznańskiej i Alej. W tym domu był komisariat policji granatowej i moja znajoma miała na parterze mieszkanie. Wziąłem tam Irenę, ulokowałem, bo tam była na razie bezpieczna, a sam szukałem mieszkania. No i dostałem taką propozycję, że jest mieszkanie w willi, na pierwszym piętrze, wolne, z tarasem. Na parterze mieszkają artyści niemieccy Compe, tancerze, którzy tańczą w Café Clubie i tam mogę to mieszkanie wynająć. Przecież nikt nie wiedział, że wynajmuję dla Żydów, tylko dla siebie. Więc jak wynajmłem to mieszkanie, przenieśliśmy tam Irenę, do niej zakontraktowałem gospozię, taką starszą panią, garbatą, żeby się w niej nikt nie zakochał, żeby tam pilnowała i przynosiła jedzenie, a Irena ściągnęła sobie dwie koleżanki do siebie i były trzy. Ci artyści, to oni całą noc tańczyli w Café Clubie, a w dzień spali, więc w nocy mogli robić co chcą, a w dzień trzeba było siedzieć cicho, żeby nie obudzić tych Niemców. Ale do Powstania, do Powstania przetrwali, znaczy z jednym małym „ale”. Raz przyjechałem i przy stole siedzi blondyn, taki przystojny, więc udałem, że to nic mnie nie dziwi, ale jak poszedł, pytam się: „Kto to jest?” „A to jest pan Władzio, on się w Ance zakochał i do Anki przyszedł”. Anka była bardzo ładna, taka blondyna, Żydówka. Ja mówię: „Jak wyście mogli coś takiego zrobić?”. „Ale to jest bardzo miły człowiek”. Więc jak pan Władzio przyszedł następnym razem, to pana Władzia spiłem, tak do imentu, zrobiłem rewizję i okazuje się, że pan Władzio jest kryminalna policja, ma legitymację, pistolet, ma wszystko to, co trzeba. Po wojnie, jechałem samochodem i on szedł szosą, z walizką. Chciałem mu pomóc, ale jak mnie zobaczył, to uciekł do lasu i walizkę porzucił. Tak samo spotkałem pana Compe, w pociągu. Ja wsiadałem oknem z jednej strony, a on uciekł oknem z drugiej strony, wyskoczył, jak mnie zobaczył. Tak się skończyło tutaj. Jak zamykali getto w Rawie Mazowieckiej, ten pan Wengrow się ze mną skontaktował i zaproponował, prosił, żebym zatrudnił w majątku, w fabryce, czterdziestu młodych ludzi, jeżeli by to dało radę. Ja mówię: „Trudno mi jest powiedzieć, pójdę, poszukam drogi załatwienia”. Poszedłem do Arbeitsamtu, do takiego dyrektora Müllera i powiedziałem, że potrzebuję pracowników, bo normalnie pracownicy byli kontraktowani z kieleckiego, a teraz nie wolno kontraktować żadnych ludzi z innych rejonów, tylko mają ci pracować, co są na miejscu, no a moje prace muszą być wykonane, dostawy muszą być robione, a kim mam robić? To się zastanawiał. Zaproponowałem mu pieniądze, wyjął pistolet, powiedział, że chce obywatela niemieckiego przekupić. No, ale koniak zrobił swoje, tak że zaczął się zastanawiać nad możliwością, że rzeczywiście ja pracowników potrzebuję, no i zgodził się na trzydzieści osób, z tym że ja, że żadnej nie będzie przy nich ochrony, bo oni się bali, Niemcy, na wsi, bo tam była partyzantka. Bali się, że jak wystawią, zostawią jakichkolwiek żandarmów czy innych, to partyzantka ich zlikwiduje. Więc powiedział, że ja odpowiadam za wszystko i mam co dwa tygodnie przyjeżdżać, w poniedziałek co dwa tygodnie rano po stempel. No i uzgodniliśmy cenę i jak to ma być załatwione. No i tak było przez rok i trzy miesiące. Za każdym razem... Jak ci młodzi ludzie przyjechali, to ja im powiedziałem: „Słuchajcie, jesteście z domów, takich porządnych i ja nie jestem w stanie wam gwarantować żadnej takiej dziupli do schowania, bo mam za dużo ludzi tutaj i nie wiem, czy nie mam konfidenta. Nie mam miejsca. Pracujecie do godziny piątej, od piątej możecie do rana robić, co chcecie. I w pierwszym rzędzie musicie sobie znaleźć mety do schowania. Awaryjną to ja wam tutaj zrobię, załatwię, ale na przechowanie, tutaj jak się skończy, to nie jestem w stanie was, trzydzieści osób tutaj mieć”. I za każdym razem, jak jechałem do Rawy Mazowieckiej rano, w poniedziałek, żeby mieli czas na schowanie się,

na ucieczkę. I tym ostatnim razem... Zadzwoiłem, bo zawsze miałem dzwonić do pana Müllera i z nim ustalać, w którym miejscu się z nim spotykam, bo on nie chciał, żeby w biurze widzieli, że on jakieś paczki bierze. Zadzwoiłem, przyjecha sekretarka i mówi: „Pana Müllera nie ma”. A ja mówię: „No to ja nie przyjadę, to poczekam, aż pan Müller będzie”. „Nie, pana Müllera nie będzie”. Ja mówię: „Dlaczego nie będzie?”. „Dlatego, że wyjechał do Berlina i wróci dopiero po dwóch-trzech tygodniach, bo tam pojechał na kongres, na kontrolę czy na coś. I musi pan przyjechać, bo pan musi mieć stempel przedłużający”. No to wiedziałem, że tutaj coś jest niedobrze, więc uczuliłem ich jeszcze bardziej, powiedziałem: „Słuchajcie, nie wygląda mnie to dobrze. Patrzcie dokładnie, żeby was tutaj nie zajechał. Jak trzeba, idźcie tam, w te miejsca, gdzie wam mówiłem, a ja jadę”. No i pojechałem. Ja pojechałem, a oni wysłali samochód. Ci, co posłuchali, to ocaleli. Ci, co nie posłuchali, bo było takich paru mędrków, co mówili: „On zawsze, zawsze mówi, że jest niebezpiecznie, a potem wraca i nic się nie dzieje”. No i tych parę osób, takich mędrków, to wzięło i nie przetrwało. Tak się skończyła tutaj sprawa. Miałem też znajomego lekarza, z którym się przyjaźniłem i do którego przychodziłem. On robił bardzo dobre nalewki. Przychodziłem na kielicha. Przyszedłem do niego, patrzę, a on siedzi na walizkach. Ja mówię: „Co, na urlop wyjeżdżasz?”. On mówi: „Słuchaj, ja ci nie powiedziałem nic, ja jestem Żydem, moja rodzina już jest w getcie warszawskim i ja jadę do getta”. Ja mówię: „Słuchaj, nie wygłupiaj się, ja cię zabieram do Rylska, zrobię ci dokumenty, będziesz leczył ludzi”. Mówi: „Nie, ja muszę być z moją rodziną w getcie, jadę do getta”. Więc musiałem znowu nielegalnie wjeżdżać do getta, żeby jemu pomagać. Ponieważ wjeżdżałem nielegalnie do getta, to mnie i AK zobowiązywało do pewnych obserwacji, prac i załatwiania. Tam wjeżdżałem z porucznikiem Podolskim, z Tomaszewskim, z Armii Krajowej, żeśmy badali sprawy, jak wyglądają sprawy w getcie. W tym getcie zaraziłem się tyfusem plamistym i leżałem na Emilii Plater, o mało się nie przekręciłem. Leczyło mnie, dwóch lekarzy tam przychodziło, no i jakoś mnie z tego tyfusu wyleczyli. Teraz, jeżeli chodzi o kontakty z Armią Krajową. Miałem... A! Jeszcze jedna sprawa. Moja mama ciężko zachorowała, miała operację, miała raka. I mieliśmy mieszkanie w Warszawie, na Żurawiej 2, pięciopokojowe. I moja mama od choroby, od czterdziestego drugiego roku leżała tam, tam miała pielęgniarkę i gosposię. I jednego razu chciała, żeby Irena przyszła, więc przyszedłem tam z Ireną. I w trakcie tej wizyty przyszła gosposia i mówi: „Proszę pana, jest dom obstawiony, ulica jest zamknięta, na każdym piętrze, półpiętrze jest żandarm. Wyciągają ludzi z mieszkań i robią rewizje”. Zobaczyłem, że sytuacja jest podbramkowa. Bałem się o matkę i o Irenę się bałem, bo Niemcy mieli nosa do Żydów. Żydzi jak się bali, to im się zmieniała twarz i oni Żydów rozpoznawali. Bałem się, że może Irena, może mieć jakieś, jakąś słabość i rozpoznają, i tutaj może być tragedia. Mówię: „Słuchaj, musimy zrobić ryzyko, musimy stąd wyjść”. Miałem takie, płaszcz skórzany, zielony kapelusz, „Völkischer Beobachter” i inne rzeczy takie, żeby wychodzić z jakichś takich sytuacji krytycznych. Ubrałem się tak na Niemca, powiedziałem: „Słuchaj, ja będę ciebie... Będę do ciebie mówił, wymyślał ci po niemiecku, a ty, ponieważ nie mówisz nic, to masz mówić tylko: »Ja, ja, ja«”. I mówię: „I spróbujemy wyjść stąd”. Więc najpierw przy drzwiach głośno gadałem po niemiecku i wymyślałem. Potem otworzyłem drzwi, wyszedłem. Żandarm na nas spojrzał, nic nie zrobił. Na każdym tym... To było drugie piętro, więc na półpiętrze, na piętrze, ja cały czas zdenerwowany mówiłem jej straszne rzeczy po niemiecku. I doszliśmy do bramy. I w bramie stało pięciu oficerów niemieckich, gestapowców i palili papierosy. I miałem do wyboru: albo ich ominąć, albo iść koło nich. I wpadło mi do głowy, że jak ja będę omijał, to oni się mogą zainteresować dlaczego. Więc mówię: „Ryzyko, idziemy prosto na nich”. No i poszedłem prosto na tych gestapowców, cały czas machając ręką i tam jej coś tłumacząc po niemiecku. I nie zwrócili uwagi. Przeszedłem do rogu placu Trzech Krzyży, no i tam dalej już uciekliśmy. Że taka rzecz też się zdarzyła.